

JANUSZ KRĘŻEL

CZAS  
PRZYJAŹNI  
I SŁUŻBY

**Reni W e p s i ę ć**  
której zawdzięczam wiarę w miłość przyjaciół.  
I to, że wyszedłszy w drogę z Jej nadzieją, mo-  
głem nazajutrz dotrzeć do Heliopolis.

MAGAZYN  
Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy



M003828

SYG.....2617.....

Mielec-Kraków  
1987

329

Zdjęcia: Archiwum Szczepu „Dąbie” im. hm Janka Bytnara „Rudego”  
w Krakowie

ZDZISŁAWA BYTNAR, JANUSZ KRĘŻEL

Redakcja Techniczna:

ABDON KLITZA

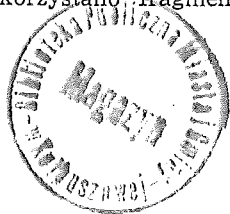
Adiustacja tekstu:

mgr RYSZARDA ŻARKOWSKA

Konsultacja: Zdzisława Bytnar — matka Janka Bytnara „Rudego”

Korekta Językowo-Stylistyczna: mgr JANUSZ KORYL

W opracowaniu wykorzystano fragmenty korespondencji Zdzisława Hubera



94 (438)-032: [328.78:9090] (438) 1987

3828

*Autor serdecznie dziękuje p. Zdzisławie Bytnar, za udostępnienie źródeł, za Dzielność i Moc Przeżywania, za Siłę Woli, za Dobroć...*

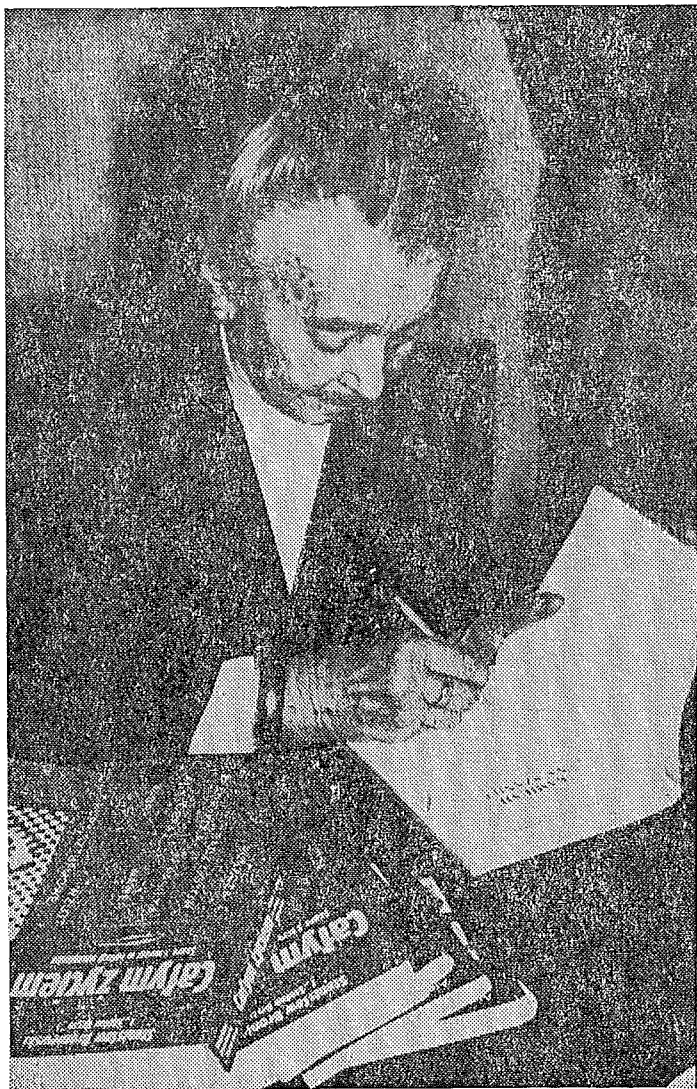
*Druhowi hm Leszkowi Stanowskiemu, b. komendantowi Szczepu „Dąbie” im. hm Janka Bytnara z Krakowa, za wkład i zaangażowanie „całym sercem” w realizację zamierzenia! Dzięki Jego trudowi, aktywności i pomocy finansowej, zamiar może być zrealizowany.*

*Panu Abdonowi Klitza, którego serdeczna troska i czuwanie sprawiły, że wydanie mogło „wyjść” na harcerski szlak.*

*Dziękuję wszystkim za pomoc: p. Emilii Magurowej — matce braci harcerzy — Jasia i Stasia Magurów z Krosna, poległych za Ojczyznę, za cenne uwagi w czasie tworzenia, p. Barbarze Borowińskiej z Biłgoraja, Bogdanowi Stanaszкови za refleksję i zachętę do kontynuowania drogi...*

SPIS TREŚCI

Przedmowa . . . . .	4
Czas młodości . . . . .	7
Płonący wrzesień . . . . .	12
Dramat aresztowania i odbicia Rudego . . . . .	15
Czas przyjaźni . . . . .	28
Czas służby . . . . .	39
Bibliografia . . . . .	54



Zdzisława Bytnar

...„Wszystko tu ufne, pogodne i prostolinijne”...

## CZAS MŁODOŚCI

...Bo na Litwie myśliwiec, jak okręt na morzu,  
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu

„Te dni pełne były młodości, nadziei i słońca”.

Tak wspomina matka Jan Bytnara wakacje syna w 1939 roku. I zaraz dodaje: „były to bajkowe wakacje — ostatnie właściwie dni szczęśliwego życia w wolnej Polsce. Wspomnienia moje — powiada matka Janka — wiodą do Czernic k. Wilna, gdzie został Janek zaproszony na ferie, przez pp. Rymszewiczów i ich syna Zygmunta, kolegi z „Batorego” ...

W te właśnie wakacyjne dni, Warszawa z poczciwą budą, kochaną Pomarańczarnią i niezastąpionym Zeusem, pozostały na brzegu ludzkiej nadziei... Przed chłopcami rozwarł się błękitny namiot nieba i mickiewiczowska księga litewskiej przyrody:

„Cieszę się bardzo pięknym latem — oceanem zieleni, dobrocią ptaków i pszczół, sycę niespotykanymi barwami całego lata. Cieszę się, że jestem, że jest mi błogo i że mogę, tu właśnie, z Panem Tadeuszem użyć wczasu” — napisał natychmiast do umiłowanego Tadeusza. Zastanowiwszy się chwilę dopisał do tej radości również strofę radości Jerzego Lieberta:

Konchą nieba mi szumi tu drzewo i ptak,  
Obce są szarym skrzydłom fali morskiej dreszcze,  
Na skrzypcach łąk, smyczkiem rosy, grają świerszcze,  
Staw się z niebem rymuje, z jarzębiną mak.

O świcie wyruszali z Zygmuntem w słoneczną helladę ziemi, aby w srebrze brzoź, budować szałas indiański i żadna siła, nawet rozpacających rezydentek dworu, nie zdołała ich nakłonić, by wrócili do dworskich salonów na noc. Chłopcom pachniał wieczór, pomieszany z wonią łoż, w którym można było złowić melodię świerszczy, łąk — uchwycić te dale sine i zapóźniony księżyc szlak.

„Pewnego dnia — mówi Janina Rymszewiczowa — rozszalała w nocy gwałtowna burza z piorunami. Błyskawice darły noc na strzępy, wiatr targał bez miłosierdzia ramionami drzew. Wkrótce zapłakały również wodorzygi, wylewając nadmiar łez na bezbronne i oniemiałe z rozpaczny posągi drzew. Czaszę ziemi wypełniły biblijne stągwie. Rozpierzchnione obłoki ściagały się po niebie, bez opamiętania i umiaru. Coraz to niebo ukazywało twarz, to czarną to znów fioletową, aby w końcu zapalić ją kolorem dziewicości. W taki właśnie czas, kto żyw we dworze, ruszył przed siebie, aby szukać legowiska „skautów” pośród litewskich borów. Przy drugim pianiu koguta i cisnieniu nieba gromem po gromie, odnaleziono wreszcie młodzieńczy zaścianek, w którym dźwięczało życie radością przegięte, a nogi, wyłażące z namiotu, oczekiwały rumieńca nowego świtu. Spali zresztą dalej niepomni trosk i tej nadgorliwej opieki serc głodnych. Odbyli bowiem onegdaj wyprawę do odległego dworu, aby zaprosić na niedzielny mityng chłopców i ich rodziców”.

Czas świąteczny dzielono tutaj godnie, uprzyjemniając życie i weseląc wieś litewską. Mnożono więc różnorakie pomysły, ze sportowymi włącznie. Dwór ożywił i rósł w oczach młodością. Uwieńczeniem mityngu była wspólna kolacja i nagrody dla zwycięzców.

Gdy zaś noc rozstawiła snopy gwiazd, krzesano harcerski ogień. Leciła pieśń w dal i przybywała noc rycerzowych stanic. I w taką właśnie noc, wierzyło się w legendy moc i siłę ludzkich dusz.

Czas płynął nieprawdopodobnie szybko. W klepsydrze makówki wybiła godzina Jankowego odlotu.

Jeszcze jedno zejście na rozmowę z litewskim matecznikiem, jeszcze jeden koncert trzmielej besetli, jeszcze jedna, tym razem pożegnalna rozmowa z Zygmuntem pod „czarnoleską lipą” dworu i już za chwilę... blondyn o złocistej czuprynie, dużych niebieskich oczach, nieco rozmarzonych, siedział w karecie, unoszącej go do Wilna, by stąd już koleją powrócić do matczynej izby w Warszawie.

Wilno... Miasto o bogatej i wielkiej przeszłości, szlachetne i tylko sponiewierane w swym dostojności, z atmosferą przedziwną — wrastało teraz w tego warszawskiego blondyna — eliptyczną obręczą. Wszystkiego chciał dotknąć, wszystko chciał poznać i co chwilę narastał lutnią i niedosytem. Najpierw Ostra Brama — promieniująca wielkością, przy której nie mógł znaleźć słów modlitwy w ustach, choć co moment dusza wybuchała jakimś wewnętrznym krzykiem — to o Polskę, to o rządy ludzkie, z najbliższymi włącznie. Potem kościół i klasztor OO Bazylianów i oczywiście jego rówieśnicy — studenci Uniwersytetu Wileńskiego — wśród nich właśnie Oni: Adam Mickiewicz, Szymon Konarski. I dopełnienie przeżyć losowych: Uniwersytecki Kościół św. Jana, założony w 1388 roku staraniem Władysława Jagiełły. I znowu ten sam wrażliwy, co



Janek Bytnar

...„Miał ogromne poczucie własnej odpowiedzialności za wszystko: za rodzinę, za przyjaciół, za cały Kraj”

dawniej Julek Słowacki, ojczyźniany Adam i tęskny pieśnią narodową Stanisław Moniuszko, który tu przez długie lata był organistą.

Spojrzenie na trzy wileńskie wzgórza z Górą Zamkową włącznie. Na koniec, jeszcze raz magnetycznie niejako, z tłumami klęczących, aby wyszeptać najgłębsze: „Pod Twoją obronę uciekamy się”. A potem cały niby pochodnia płomienna musiał odnotować w osobistym notatniku zaledwie trzy zdania:

„Trzeba żebyś żył dla innych, jeżeli chcesz żyć dla siebie”.

„Nie ma sensu słowo kocham, jeśli nie powiemy kocham kogoś”.

„Miłość nie istnieje, jeśli ktoś nie odpowie na nią taką samą głębią i taką

samą mocą”.

Wleciał do matczynej izby, niczym wichur. „Była w nim cała radość życia i całe umiłowanie ludzi” — powie matka.

Nazajutrz wyjechał znów do Zakopanego na tzw. obóz junacki. Otrzymał skierowanie do kompanii, która budowała szosę z Zakopanego do Jaszczurówki.

Rozpoczął się twardy sprawdzian rąk, po promiennych wakacjach w Czernicach. Zakwaterowanie w baraku, twarde wyrko do spania, mundur junacki, na którym wbrew przepisom zawisła chusta Pomarańczarni. Na dodatek mozaika ludzkiej biedy i ludzkich charakterów. Los dał Jankowi za sąsiada 20-letniego chłopca z Kołomyi, który przyłgnał sercem i wzrokiem. Janek, jak wspomina matka „wpadł w swój żywioł. Stopniowo bezbarwne junackie wieczory, wypełniły się, pod jego kierunkiem, bogatą treścią dyskusji, referatów oświatowych, a nawet zorganizowanych kominków, podczas których muzykowano i śpiewano, aby po takich muzycznych posiadach stanąć nazajutrz znów do budowy szosy i ćwiczeń wojskowych”.

O tych ćwiczeniach pisał do matki: „...,Czołgam się w masce popiachu, który wgryza się w każdy zakamarek mojej odzieży, w każdy zakamarek mojego ciała. Jest dosłownie wszędzie, nawet między zębami. Najgorzej wtedy, gdy smakuję chleb, czy spożywam posiłki. Świszczy to i jęczy, niczym pokutująca dusza, a wyjść nijak ze mnie nie potrafi, więc jakoś i z tym piachem żyję, choć bez większej przyjaźni”.

Dni junackie z każdym dniem malały. Znikały też krajobrazy urzekających pięknem gór, a ich miejsce wypełniała gorzka świadomość doli i niedoli wiejskiego chłopca. Przyrzekł mieszkańcowi Kołomyi cenzus szkolny i miejsce przy warsztacie.

Przy pożegnaniu brakło jednak męstwa, więc zarzuciwszy skrzydła na siebie, czarnym makiem oczy zasnuli... Obóz junacki dobiegł końca. Janek słał do matczynej izby drugi list: „...,Pragnę coś takiego, co się łóżkiem nazywa. Wzdycham do ciepłej kąpieli z prysznicem. Łaknę gorącego napoju choćby kompotu. Tęsknię już bar-

dzo, aby ścisnąć po kolei wszystkich domowników, bowiem teraz wiem, co znaczy kochane domowe ognisko. Zaraz pierwszego dnia obiecuję fe, fe, fenomenalną gawędę”.

To było 25 sierpnia. W pociągu, który zaledwie dotarł do Warszawy, spotkał już pierwsze karty mobilizacyjne i niespokojne poruszenie ludzi. Rosło coraz większe zdenerwowanie. W powietrzu wisiała jakaś nieokreślona groza, o której poeta krzyczał ostatnią struną gardła:

A kiedy los nam zadał kłam  
i rzucił w twarz wrześniew jak granatem  
płonęły róże i płonęły lasy  
wszędzie dzwoniło mgliste Westerplatte

Temperatura grozy i temperatura bohaterstwa, zaczęły spełniać rolę wody i ognia, które hartują...

Szeptano modlitwy o męstwo i twardość psychiczną, proszono o charaktery i twórców z płonącej krwią...

I tak nadszedł czas strzelania perłami... Ta młodość była jednak silna. Poniosła przed światem łunę myśli i barykadę mocy, niby zagiew słoneczną.

Właśnie wtedy i właśnie onej godziny droga powiodła pod Arsenał. Ale zanim to nastąpiło trzeba było pokonać czasu kurz... lawinę ognia, wylać morze krwi bratniej, aby móc w końcu zwyciężyć grozę i śmierć.

## PLONĄCY WRZESIEŃ

O miasto, miasto — Jeruzalem żalu,  
gdzie wsparte o kolumny — każde drzewo krzyżem  
nad cieniem mijającym jak cieniem koralu,  
który jak płomień niewidzialny liże  
stopy zwycięzców i tych, którzy leżąc  
pod płytą blasku, w cień blasku nie wierzą.

— Krzysztof Kamil Baczyński —

Nieubłaganie jednak zbliżał się do Ojczyzny płonący wrzesień...

„Osobliwa była bitwa warszawska — pisał we wspomnieniach Ferdynand Goettel. Nie słyszało się jej i nie czuło inaczej niż w nieustannym rytmie podniecenia, którym tętniło miasto. Pociski świstały to tu, to tam. Na ulicach wybuch, nie raz spod nóg, krater dymu. Balkon, czy gzyms obrywał się i leciał w dół. Czasem ktoś padał na ulicy ni stąd, ni zowąd, czasem ktoś wstawał z ognia jak feniks z popiołów. Radio włączyło się w ten zgiełk wojowniczą nutą Warszawianki, czy dzikim rytmem zbójnickiego tańca, który zdawał się grać niepokojem lecącego w górę płomienia. Krótkie rozkazy zdania prezydenta Warszawy przesywały powietrze, jak błyskawice. O zmierzchu bywało nieco ciszej. Pociski leciały z rzadka, warkot samolotów ustawał. Ludzie wysuwali się wówczas z domów i biegli odwiedzać przyjaciół. Niekiedy ukazywał się na ulicy mały kondukcik pogrzebowy, odprowadzający poległego, czy zmarłego na jakiś większy cmentarzyk, założony na Placu Trzech Krzyży, u wylotu Krakowskiego Przedmieścia czy na Placu Krasińskich”.

Jeszcze jesienny wiatr nie zdołał skosić liści z drzew, gdy żołnierze Wehrmachtu wkraczali do Warszawy. Przywitały ich dymiące gruzy, głębokie oczodoły umierających kamienic i wystraszone oblicza kobiet, opalonych modlitwą.

„Strzaskana, pozbawiona komunikacji, światła i wody Warszawa, wydawała się być cmentarzyskiem — wspomina L. M. Bartelski. — Niemcy zajmowali gmachy publiczne, warta stanęła u bram uniwersytetu, okupantów widziało się wszędzie — butnych i triumfują-

cych” — dodaje. Powrót do domu był przeżyciem niezapomnianym. „Z Pragi skręcamy na most Poniatowskiego, też poraniony, z poprzerywaną żelazną barierą, tu i ówdzie złamana na żelaznym słupie latarnia elektryczna zwisa jak zwiednięty kwiatek. Wszędzie po drodze wielkie od pocisków w murach kamienic, wywalone wnętrza, pokłute kulami ściany, wszystkie szyby w oknach rozbite... Groby na trawnikach” — malowała pejzaż tej Warszawy w „Dziennikach” Zofia Nałkowska.

Ta strzaskana i rozbita Warszawa nie zamierzała się poddać okupantowi. „Zaimponowała mi Warszawa swoją postawą, wobec wroga, z którego mało co sobie ludzie robią” — nadmieniał pełen optymizmu dr Zygmunt Klukowski — autor „Dziennika z lat okupacji”. Wspierał go autor „Na przekór nocy” — Aleksander Maliszewski. „Cała Polska stała się dla Niemców nie gasnącym frontem, a Warszawa, jak to określili jeden z hitlerowskich dygnitarzy — centralą piekła z najbardziej złośliwymi diabłami. Działa więc armia, prasa, opieka społeczna, działają sądy, działają teatry (nie te oczywiście, z afiszami na murach), prowadzona jest akcja upowszechniania poezji i muzyki”...

Rozpoczynała się okupacyjna codzienność. Stanisław Broniewski „Orsza” pisze: „...Początki życia konspiracyjnego nęciły swoją niezwykłością. Wydaje się jednak, że nie ona decydowała o rozpoczęciu konspiracji. Zbyt dynamiczny był wrzesień, zbyt wiele było patosu w przerażającej ciszy października, aby działały wtedy w ludziach jakieś impulsy osobistego wyzycia się, osobistej przygody.

Decyzja wejścia w konspirację w swej przyganiatającej większości wywodziła się z polskiego: „N I E”!

W tym polskim „Nie” poczesne miejsce przypadło Szarym Szeregom, czyli po prostu Związkowi Harcerstwa Polskiego.

...„27 września w murach oblężonej Warszawy, na strzępie wolnej jeszcze ziemi polskiej, zgromadzeni przy ulicy Polnej i stanowiący dostateczne quorum członkowie Rady Naczelnej podejmowali ważną decyzję rozpoczęcia pracy konspiracyjnej harcerstwa”...

Oto ile razy wypadki przybierały niekorzystny dla Polski obrót, ile razy wróg triumfował, a siły polskie były zagrożone lub rozbite, pisze „Orsza”, tylekroć wzrastała jakby niespodziewanie waga harcerstwa.

Słowa te zostały wypełnione głęboką treścią przez Szare Szeregi w czasie okupacyjnej nocy, szczególnego zaś ciężaru gatunkowego nabrały w 1943 roku, kiedy to w biały dzień, na ulicach Warszawy, odbito z rąk gestapowców Janka Bytnara „Rudego”, w głosnej na cały kraj akcji pod Arsenalem — akcji, która była pierwszym zrywem wolności — przykładem patriotyzmu młodzieży — jej dojrzałej świadomości i powinności obowiązków wobec udręczonej Ojczyzny. Słusznie więc L. M. Bartelski dopatrywał się w akcji

pod Arsenalem „płomienia wolności”, który rozświetlał mroki kraju, żyjącego w tych niesamowitych czasach.

W „Genealogii ocalonych” zapisał: „Odbicie Janka Bytnara pod Arsenalem, gdzie padł po raz pierwszy słynny rozkaz „Trzaskać” oraz front na wschodzie, idący ku nam, pozwalały się czuć mniej bezbronnym... Bo jedno jest ważne — gwałt niech się gwałtem odciska: mickiewiczowska formuła poetycka znajdowała swą realizację i potwierdzenie w rzeczywistości”.

## DRAMAT ARESZTOWANIA I ODBICIA „RUDEGO”

Nie umiem, matko, nazwać, nazbyt boli,  
nazbyt mocno śmierć uderza zewsząd.  
Miłość, matko, — już nie wiem, czy jest.  
Nozdrza rozdarte z daleka Boga wietrzą:  
Miłość — cóż zrodzi? — nienawiść, struny łez.

— K. K. Baczyński —

Aresztowanie Janka Bytnara „Rudego” nastąpiło 23 marca (wtorek), w mieszkaniu jego rodziców w Warszawie, przy Alei Niepodległości 159 m. 63. Wraz z Jankiem aresztowano jego ojca Stanisława. W chwili aresztowania w mieszkaniu znajdowała się jedynie babcia Jasia, Katarzyna Bytnar. Matka — p. Zdzisława Bytnar była wówczas na wsi w Motkowicach, powiat jędrzejowski, zaś siostra „Dusia” — członek „Małego Sabotażu” nie zdążyła wrócić na noc do mieszkania, zaskoczona u znajomej nauczycielki godziną policyjną. Zdążyła jedynie przekazać telefoniczną informację do sąsiadów pp. Bukowskich, prosząc by powiadomili o tym ojca, podając również adres swego miejsca pobytu. Nikt przecież nie mógł przewidzieć, co przyniesie następny dzień okupacyjny. Dla rodziny Bytnarów, dzień ten zapisał się dramatycznie pozostał na zawsze w pamięci.

Niespodziewanie rano, o godzinie 4.30, do mieszkania wtargnęło sześciu gestapowców. „Odsunęli na bok ojca i z pistoletem masyńnym gotowym do strzału, rzucili się w kierunku pokoju Janka. Wołali przy tym, że źle udawaną serdecznością: Janek! Janeczek! Zerwanemu ze snu kazano natychmiast ubierać się. Jednocześnie nastąpiła szybka pobieżna rewizja” — pisze w „Akcji pod Arsenalem” — Stanisław Broniewski. Aresztowanych (Janka z ojcem) rozdzielono na ulicy i każdego wsadzono do innego samochodu, aby uniemożliwić porozumienie ojca z synem.

Po dwóch gestapowców zajęło miejsca w każdym z samochodów i ruszono na Pawiak. „Zamknęły się za mną drzwi — i oto jestem

więźniem. Rozglądam się, jak to wygląda? Przed wiekami bielone ściany, okno nad głową, długie, a wąskie wnętrza. U ludzi na wolności lokator takiej kiszki uważałby, że nie starczy już miejsca na kogoś drugiego — tutaj w ciemności majaczy mi się ciżba kilkunastu figur siedzących, leżących, stojących. Małe światełko lampeczki u sufitu, ledwo — rozświetla twarze” — wspominał Adam Grzymała Siedlecki w „Stu jedynastu dniach letargu”, pamiętniku z Pawiaka.

W chwili aresztowania Janek liczył 22 lata. Był podharcemistrzem i podchorążym, hufcowym jednego z czterech hufców (Hufca „Południe”, później „Sad”, wydzielonego oddziału dywersyjnego) Warszawskich Grup Szturmowych, utworzonych na początku listopada 1942 roku, z najstarszych (18—22 lat) członków Chorągwi Warszawskiej Szarych Szeregów. Grupy Szturmowe wchodziły w skład Oddziałów Dyspozycyjnych Kedywu Komendy Głównej AK, które podlegały wówczas bezpośrednio mjr. dypl. Janowi Wojciechowskiemu ps. „Oliwa”. Sylwetkę Janka z tamtych lat, tak szkicuje jego Matka:

„Drobnej raczej sylwetki (wzrost ponad metr siedemdziesiąt) toteż jego „cała istota ześrodkowała się w niebieskich oczach i czole odzwieczających wybitną inteligencję. Wierciec mi — zdradził kiedyś — ja nieskończenie chcę otwierać świat i kusić los. Zamyślnego wiecznie, trzymającego się trochę z boku „mózgowca” sprowadzano wesołym gronie „Pomarańczarni” do realiów przyziemności, choćby przypisaniem go do kucharstwa. Szybko nauczył się i tej „sztuki” osiągając apogeum sławy zupą z pokrzyw, której zdumiewająca magia polegała na potajemnym wlaniu do niej sporej ilości śmietany. Był po prostu — co zawsze imponuje — wszechstronnie uzdolniony. Koledzy ze szkoły Wawelberga mówili o nim krótko: geniusz matematyczny. Z pomysłowości też i wielu drobnych wynalazków zasłynął w służbie Małego Sabotażu. Jego pomysłem był m. in. system blokowy wciągania narodowych flag na latarnie stolicy, pieczątki z trupa czaszką do stemplowania niemieckich afiszów, poduszki do stempli kotwic, „wieczne pióro” do wykonywania napisów na wysokości 3—4 metrów”.

Swojej „przygody” szukał jednak w pracy umysłowej. Pochłonięty wciąż nurtującymi go problemami społecznymi, kulturalnymi, filozoficznymi, „łykał” literaturę naukową, uwielbiał poważne rozmowy. Łatwo posiadał właściwość koncentrowania myśli na absorbującym go zagadnieniu z charakterystycznym przy tym gestem przeczesywania ołówkiem włosów przy „swędzeniu mózgu”. W zafascynowanym jego intelektem gronie, był duszą poczynań samokształceniowych. Powiada matka: chciał rzeczywiście otwierać świat na oścież sobie i innym. Może to „otwieranie” wymagało szeroko otwartych ocz, wiecznie rozsypującej się czupryny, ruchliwych nozdrzy, rozpiętej nawet w porze zimowej koszuli pod szyją. On zaś wyznaje: „Mam odwagę powiedzieć, że moją ambicją osobistą jest

nie tylko bicie rekordów w Małym Sabotażu, chcę także kiedyś bić rekordy jako technik i człowiek”.

A więc człowieczeństwo: świat uczuć, świat przeżyć wewnętrznych były istotną treścią jego zainteresowań. Poruszał jego umysł, tak ważny w harcerskim dekalogu, problem doskonalenia się i pracy nad sobą, sprawa uzupełnienia własnej osobowości tym wszystkim, czego tej osobowości brakuje. „Pełnia osobowości”, doskonałość — oto przedmiot niekończących się rozmów z przyjaciółmi, cel upartej pracy nad sobą. O takich mówi się: człowiek z charakterem.

„Kamyk” napisze: „mówił, że dni jego nie znają godzin zmarnowanych, że żyje pełnią życia, że wszystkie jego zajęcia są cudownymi zajęciami. Prawdę, swój punkt odniesienia, odnajdował w cisy warszawskich kościołów: — Jakbym nagle to wszystko widział, rozumiał i nie czuł strachu ani też śmierci: wszystko naturalne, mądre i bezgranicznie dobre! Sam też był naturalny i dobry. Łączyły te przymioty z tolerancją dla tych, którzy jego zalet nie posiadali, bądź nie podzielali jego punktu widzenia. W kontaktach z przyjaciółmi był ujmująco delikatny. Służba w dywersji, akcje z bronią w rękę, wyzwoliły w nim wbrew delikatności i refleksyjnej naturze, zacięcie przywódcze oraz mało widoczną dawniej odwagę. Mocno przy tym przeżywał sens walki. Przyjaźń zawsze cenił sobie ogromnie i poświęcał jej sporo czasu”.

Głęboka więź uczuciowa z matką, ojcem, Tadeuszem, „Alkiem”, wzmagala jego aktywność, dynamizując się stokrotnie zarówno w rozwoju osobowości, jak i w podziemnej służbie Szarych Szeregów. Aleksander Kamiński w książce „Kamienie na szaniec” scharakteryzuje osobowość Janka krótko: „Był to chłopiec o dużej wszechstronnej skali talentów w ogóle”... Władysław Słodkowski ps. „Kurant”, starszy kolega Janka, uzupełni sylwetkę „Rudego” spostrzeżeniami własnymi: „Bystre oczy i bardzo miły, ale nieraz figlarny i jakby trochę kpiący uśmiech. Było w tym uśmiechu jednakże coś niezwykle ujmującego, a od całej postaci promieniowała niezawodna serdeczność. Miał ogromne poczucie własnej odpowiedzialności za wszystko: za rodzinę, za przyjaciół, za cały kraj. Rudy potrafił narzucić sobie, tak myślę, może i nie odpowiadające mu w pełni rygory walki wręcz, gdy brał udział w kolejnych bojowych już akcjach Grup Szturmowych Kedywu. Po takich wypadkach bywał szczególnie cichy i zadumany, w myśli kontrolował siebie, czy jako uczestnika, czy jako dowódcę. Nigdy się żadnym wyczynem nie chwalił, nigdy nie drapał się w togę bohaterstwa. Był zawsze wobec siebie i innych harcerzem, wiernym złożonemu kiedyś przyrzeczeniu” (...)

„Mam szczerą wolę, całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętnie pomoc bliźnim, być posłusznym Prawu Harcerskiemu”.

Ostatnie przed aresztowaniem popołudnie, 22 marca 1943 roku spędził Janek z najbliższym przyjacielem Tadeuszem, rozmawiając



Tadeusz Zawadzki „Zośka”

„Jaki to wspaniały chłopiec ten młody Zawadzki. On ma wszystkie możliwe zalety: jest mądry, dobry, głęboko ideowy, pełen woli czynu, rozważny i dzielnie dojrzały”.

— I tak... śliczny — dorzucił Profesor po chwili zadumy. Alicja Dorabialska: „Jeszcze jedno życie”.

przy rozstaniu o formowaniu osobowości przez wzajemne oddziaływanie, by wieczorem, przez słuchawkę telefoniczną odebrać jeszcze od niego serdeczne: „dobranoc Jasiu”.

I nagle zaczął się ten dramat, nie mający sobie równego. Sąsiedzi, pp. Bukowscy słyszeli odgłosy tego dramatu, rozgrywającego się w nocy u pp. Bytnarów i dlatego, po upływie godziny policyjnej, ich syn Staszek, popędził na Hożą, gdzie nocowała „Duśka”. Ta zaś natychmiast pobiegła na Politechnikę, gdzie mieszkali pp. Zawadzcy, by zawiadomić Tadeusza. Tak więc, gdy w Alei Niepodległości trwała jeszcze rewizja, zadyszana „Duśka” nacisnęła dzwonek przy drzwiach wejściowych do mieszkania „Zośki”. Wywołany „Zośka” wybiegł zafasowany i niespokojny. Na jego widok „Duśka” wyrzuciła z siebie: „Wzięli Janka i ojca”. To był początek alarmu w Szarych Szeregach — notuje „Orsza”.

...„Straszna to była dla mnie chwila — powie „Zośka”. — Coś się urwało, skończyło, uleciało w przestrzeń. Lecz łzy w oczach — powstrzymywała natychmiast myśl: jeszcze nie koniec, jeszcze jest szansa, dziś jeszcze atakujemy samochód” (...)

Ta „szansa” nakazywała Tadeuszowi Zawadzkiemu „Zośce”, jako jednemu z pierwszych uruchomić sieć alarmową: zawiadomiono wszystkich, którzy ewentualnie mogliby przyjść do mieszkania aresztowanego, zabezpieczono lokale, zmieniono i przerzucono magazyny broni, poinformowano tych, których adresy znał Janek Bytnar. W akcję włączył się komendant Chorągwi Warszawskiej Szarych Szeregów — Stanisław Broniewski „Orsza”. Tymczasem na Pawia-ku, już w 15 minut po przewiezieniu Janka rozpoczęło się śledztwo. Przeprowadzili go ci sami gestapowcy, którzy dokonali aresztowania. Zdawali sobie sprawę, że są na tropie, dlatego tak szybko rozpoczęli śledztwo. Janek wszystkiemu zaprzeczał, do niczego się nie przyznawał. Gestapowcy za wszelką cenę, usiłowali złamać opór „Rudego”, bijąc go we czterech pejcami, kijami, miażdżąc obcasami butów dłonie.

...„To już nie w walce równego z równym, to już nie w walce nawet beznadziejnej, to bohaterstwo innego wymiaru. Bohaterstwo człowieka wyrwanego w ciągu jednej minuty z domu, rodziny, pracy, wszystkiego co mu bliskie, wyrwanego z roboty, którą ukochał i której się w stu procentach poświęcił, przeniesionego w ciągu jednej chwili na dno piekła” — pisał Tadeusz.

Gdy nic nie potrafiło złamać oporu „Rudego” wprowadzono Heńka. Liczono, że wrażenie jakie zrobi widok kolegi oraz cała podstępna reżyseria konfrontacji, złamią ostatecznie postawę Janka. Heńka Ostrowskiego aresztowano cztery dni wcześniej, to jest 19 marca 1943 roku. Przyczyny tego aresztowania nie zostały nigdy do końca wyjaśnione. „Jedno jest pewne: już w chwili aresztowania gestapo posiadało o nim szczegółowe i ważne informacje, a nadto w mieszkaniu Heńka, przy ulicy Osieckiej na Grochowie, znaleziono wiele

materiału obciążającego, a w szczególności materiały wybuchowe, broń, amunicję. Śledztwo Heńka było bardzo ciężkie. W jego toku, prawdopodobnie po rozszyfrowaniu notatki, natrafiono na adres Janka Bytnara"... To właśnie było prologiem do wydarzeń, jakie rozegrały się 23 marca 1943 roku w Alei Niepodległości. „Rudemu” odczytano wszystkie informacje, jakie gestapo posiadało o sprawie. Nadano im charakter zeznań Heńka. Była w nich hipoteza, że „Rudy” jest zwierzchnikiem przez którego wiedzie droga do wyższych władz. Dla skatowanego Janka było to strasznym ciosem. Był przekonany, że został zdradzony przez bliskiego druha — współtowarzysza pracy i walki. Wstrząsnęło to „Rudym” do głębi, miał żal o to, że gestapo dowiedziało się tylu szczegółów o jego konspiracyjnej robocie. Postanowił sam milczeć do końca... Wtedy znów rozpoczęło się bicie „Rudego” ze zdwojoną brutalnością, z gorączkowym pośpiechem. Zygmunt Śliwcki w „Meldunku z Pawiaka” przekazał: „...Po-fem wzięto go na Szucha, do konfrontacji z Henrykiem Ostrowskim, stosując dalej bestialskie tortury. Na drugi dzień, ze względu na doznane ciężkie kontuzje i zły stan ogólny został przyjęty do szpitala więziennego. Jak mi sam mówił — nikogo nie wydał, a nawet nie przyznał się do znajomości z sypiącym. Wobec przedłożonych dowodów, podał nazwiska nieżyjących, bądź fikcyjne. Ze szpitala na noszach został zabrany na przesłuchanie, w bardzo ciężkim stanie”.

Dramat „Rudego”, a tym samym całych Grup Szturmowych, poruszył do głębi grono konspiracyjnej braci. Z miejsca powstała myśl o wydobyciu go za wszelką cenę z rąk gestapo. Myśl ta powstawała w mózgu „Zośki” bardzo wcześniej, tego dramatycznego dnia, gdy z ust „Duśki” padło, ciągle teraz brzmiące zdanie: „Wzięli Janka i ojca”. Myśl odbicia „Rudego” objęła bardzo szybko całe Grupy Szturmowe, wszystkich funkcyjnych i szeregowych, bowiem „w tym jasnowłosym chucherku tkwiła jakaś magnetyczna siła, połączona z mądrością życia, rozmiarem niespotykanych uczuć serca i głębią intelektu”. Te właśnie cechy, tkwiące w tym młodym chłopcu, nakazywały rzucić „na szaniec” konspiracyjnej braci dosłownie wszystko — powie po latach Matka „Rudego”.

Kilka miesięcy wcześniej decyzja odbicia byłaby nieprawdopodobna. Teraz była ona również szaleństwem, niemniej koniecznym, ze względu na straszne tortury, jakie zadawano Jankowi i równocześnie nakazem wewnętrznym, żądającym ostrzejszej walki z okupantem.

Na wykonanie tej niecodziennej i brawurowej akcji (w warunkach okupacyjnych) konieczna była jednak zgoda, wspomnianego już mjr. J. W. Kiwerskiego. Podjęto wysiłki w celu nawiązania z nim łączności. Stanisław Broniewski odnotował: „Na wstępie zła wiadomość, która zaciążyła na wszystkich: w Warszawie nie ma dowódcy Oddziałów Dyspozycyjnych mjr. J. W. Kiwerskiego „Lipińskiego”.

Wyjechał na parę dni w teren, aby przeprowadzić rozpoznanie jakiejś przyszłej akcji. Zastępuje go Mieczysław Kurkowski „Mietek”. „Lipiński”, poza tym, że bardzo był zżyty z „Zośką” i „Rudym” i wyczuwał atmosferę panującą w Grupach Szturmowych, umiał brać na siebie odpowiedzialność i podejmować decyzję”.

„Mietkowi” na jego szczuble, podjąć taką decyzję było znacznie trudniej. Rozpoczęła się wymiana argumentów i poglądów. „Zośka” domagał się, żądał. Nie tylko wydania pozytywnej decyzji, ale wydania jej szybko, prawie natychmiast” (...) Gdy „Mietek” wysuwał argumenty, że akcja jest wielkim ryzykiem dla oddziału, że ten cenny i starannie wyszkolony oddział może ulec zniszczeniu, „Zośka” z miejsca odpalił, że chodzi o siły 10 procentowe oddziału, bo tylko tyle wejdzie do akcji. Gdy „Mietek” wysuwał z kolei, że nikogo, nawet delegata Rządu dotąd nie odbijano, dlaczego „Rudy” miałby być pierwszym — „Zośka” nie miał wątpliwości... „bo „Rudy” jest tego wart i „Rudy” ma przyjaciół, którzy decydują się to zrobić”... „Mietek” się waha. Czas biegnie. Musi paść jakaś decyzja. Podejmuje ją „Orsza”: „niech przygotowania trwają, tak jakby akcja była na pewno przesądzona: w tym czasie postaram się uzyskać jednak decyzję” — powiedział „Orsza”. Czas został wypełniony działaniami...

W czasie odprawy bojowej, która odbyła się 23 marca, o godzinie 14.00 (w mieszkaniu Jurka Gawina „Słonia”) na ulicy Wilczej, wszystko przemyślano szczegółowo i precyzyjnie. Odprawę prowadził „Zośka”. Decyzją Naczelnika Szarych Szeregów, dowodzenie akcją oddano w ręce Stanisława Broniewskiego, wychodząc z założenia, że „Zośka” jest bardzo emocjonalnie zaangażowany, dlatego też nie można pozostawić w jego rękach wszystkich decyzji. Na wstępie wiadomość od Naczelnika Szarych Szeregów Florianą Marciniaka, że posiada kontakt z Pawiakiem i kontakt ten stawia do dyspozycji. Druga wiadomość nadeszła od hufcowego Bojowych Szkół na Ochocie — Zygmunta Kaczyńskiego „Wesołego”, że ma kontakt z Aleją Szucha. Przy pomocy zgranych ze sobą informacji, płynących poprzez powyższe kontakty, można było już uzyskać pewność, że „Rudy” znajduje się w transporcie, a więc — czy atakować, czy nie?

Ważne ogniwo w całym łańcuchu informacji stanowiły dwie dzielne kobiety: Wanda Opęchowska, pełniąca funkcję wiceprzewodniczącej Szarych Szeregów oraz Helena Danielewicz, która 23 marca około godziny 12.00 w południe, przekazała Florianowi Marciniakowi informację, że „Rudy” został rano zabrany na Szucha. Tę wiadomość harcistrzynie Helena Danielewicz uzyskała od wymienionego już dr Z. Śliwickiego, współwięźnia Pawiaka. Te cenne informacje pozwoliły kontynuować plan odbicia. Wybór miejsca akcji padł na skrzyżowanie Bielańskiej z Długą, na wprost Arsenału. Zdecydowały o tym względy taktyczne. „Niepokój, czy uda się więźniarkę zatrzymać, wpłynął nie tylko na ostateczny wybór miejsca,

lecz także na plan uderzenia. Aż cztery bowiem przeszkody zdecydowano umieścić na drodze więźniarki”.

Oddajmy jednak głos „Orszy” — świadkowi tych godzin i dni... „Pierwszą, którą później w toku walki okaże się decydująco skuteczną, było obrzucenie szoferki samochodu butelkami zapalającymi z benzyną. Zadanie to otrzymało czterech członków oddziału, tworzących sekcję nazwaną „butelki”. Dowódcą sekcji został Janek Rodowicz — „Anoda”: w jej skład weszli: Tadeusz Hojko — „Bolec”, Henryk Kupis — „Heniek” i Stanisław Pomykalski — „Stasiak”. Sekcja ugrupowana została na rogu Bielańskiej i Nalewek na wprost Arsenалу. Uderzyć miała w momencie, gdy samochód po wyhamowaniu na krzyżwiznie przecuci już kierownicę na nową oś jazdy. Gdyby uderzenie „butelek” chybiło lub okazało się nieskuteczne, wystąpić miała następna sekcja. Była ona zgrupowana o kilka metrów dalej, po tej samej stronie Nalewek. Miała za zadanie ostrzelać szoferkę samochodu z pistoletu maszynowego prawie prostopadłe do osi jazdy, tak, aby kule, przesywając na wylot szoferkę, nie grzęzły we wnętrzu więźniarki i nie raniły więźniów. Oddział posiadał zaledwie dwa pistolety maszynowe, musiał więc starannie określić ich zadanie w nadchodzącej akcji Trzyosobowa sekcja, kładąca tę zaporę, otrzymała od marki swej zasadniczej broni — nazwę „sten I”. Dowódcą sekcji, a zarazem obsługą stena został Maciej Bittner — „Maciek”.

Oprócz niego w skład sekcji weszli, jako osłona stena, uzbrojeni w broń krótką: Eugeniusz Köcher — „Kołczan” i Wiesław Krajewski „Sem”. I znów o parę metrów dalej, po tej samej stronie Nalewek — trzecia zapora. Znów trzyosobowa sekcja, a podstawowym uzbrojeniem — jeden pistolet maszynowy. Lecz zadanie bezwzględniejsze, można by je nazwać: zatrzymanie za wszelką cenę. Sten ma bić pod kątem 45° do osi jazdy, a więc na skos w szybą szoferki, ryzykując już straty jakie musieliby ponieść więźniowie. Byle tylko zatrzymać, jeśli poprzednie przeszkody okazałyby się niedostateczne. Sekcja otrzymująca to bezwzględne zadania nosiła nazwę „sten II”. Jej dowódcą i strzelcem obsługującym stena został Jerzy Gawin — „Słoń”. W skład sekcji weszli ponadto: Tadeusz Krzyżewicz — „Buzdygan” i Tadeusz Szajnoch — „Cielak”. Ich zadanie: osłona stena, uzbrojenie — broń krótką. Ostatnią zaporę stanowić miała również trzyosobowa sekcja „granaty”. Zadanie — rozbicie czterema posiadanymi granatami motoru wozu. Dowódcą sekcji: Aleksy Dawidowski — „Alek”, jej członkowie: Hubert Lenk — „Hubert” i Jerzy Zapadko — „Mirski”.

Dowództwo nad całością składającą się z tych czterech sekcji grupy atak objął „Zośka”. Z nim razem atak liczył czternastu ludzi zgrupowanych na kilkunastu metrach wzdłuż tej samej strony ulicy Nalewki. Obok grupy „atak” w skład oddziału wchodziła jeszcze jedna grupa — ubezpieczenie. Dowodził nią Miłosław Cieplak — „Gie-

wont”. Jej zadaniem było niedopuszczenie do terenu walki przypadkowych sił wroga, a w przypadku większych sił — meldowanie dowódcy o ich pojawieniu się. Innymi słowy, zadaniem było umożliwienie grupie „atak” wykonania zadania głównego. Podział wewnętrzny grupy „ubezpieczenie” wynikał z układu ulic w rejonie akcji. Zarysowały się mianowicie cztery kierunki, z których grozić mogło niebezpieczeństwo: ulicą Nalewki, ulicą Bielańską od strony placu Teatralnego, ulicą Długą od strony Starego Miasta i wreszcie ulicą Długą od strony przeciwnej. Tak też oddział musiał być ubezpieczony.

Zdecydowano, że od strony Nalewek specjalnej sekcji ubezpieczenia sytuować nie trzeba. Wystarczającą rolę ubezpieczenia spełni przecież skrajna, najdalej wysunięta na północ sekcja ataku: dowodzona przez „Alka” sekcja „granaty”. Od strony placu Teatralnego ubezpieczenie miała stanowić sekcja, której podstawowym zadaniem było sygnalizowanie zbliżającej się więźniarki. Skład sekcji stanowili: Konrad Okolski — „Kuba” — dowódca, Witold Bartnicki — „Kadłubek” i Andrzej Wolski — „Jur”. Na dwóch kierunkach ulicy Długiej miały stanąć typowe sekcje ubezpieczenia bez żadnych dodatkowych zadań: od strony wschodniej trzyosobowa sekcja Stare Miasto w składzie: Józef Sasaki — „Katoda” — dowódca, a ponadto Stanisław Jastrzębski — „Kopeć” i „Rawicz”. Od strony zachodniej natomiast czteroosobowa sekcja „getto” w składzie: Tytus Trzciński — „Tytus” — dowódca oraz Feliks Pendelski — „Felek”, Józef Pleszczyński — „Ziutek” i Jerzy Tabor — „Pająk”. Dowódcy grupy ubezpieczenie podlegał ponadto środek ewakuacji, przy którym czuwali Jerzy Peplowski — „Jurek TK” i Andrzej Zawadowski — „Gruby”. Razem ubezpieczenie stanowiło trzynastu członków oddziału. Całość oddziału składającego się z dowódcy — „Orszy” i dwóch grup: atak oraz ubezpieczenie wynosiła więc 28 ludzi”...

„Skromne było wyposażenie w broń, jeszcze skromniejsze — w inne potrzebne do akcji środki. Oddział nie posiadał żadnego samochodu. Dziś trudno to zrozumieć. Przed oddziałem był jeszcze ten próg, nie tyle organizacyjny ile psychiczny, po przekroczeniu którego samochody zdobywało się w walce, przemaslowywało je, zmieniało numery. Przed progiem były na razie tylko gorączkowe, prowadzone przez Jerzego Zborowskiego — „Jeremiego” starania o kupno dekawki. Kulał sanitariat. Praktycznie go nie było. Łączniczki Komendy Chorągwi rozpoczęły gorączkowe poszukiwania. Usiłowano dotrzeć do zapasów mobilizacyjnych gromadzonych przez żeńskie drużyny harcerskie, lecz na to wszystko było bardzo mało czasu. Zarysowały się dopiero pewne nadzieje, że coś da się załatwić”... Nadchodziła godzina koncentracji oddziału, polegająca na punktualnym zajęciu przez poszczególnych uczestników wyznaczonych im w planie stanowisk.

Łatwo powiedzieć: koncentracja. Lecz pod tym słowem kryje się dwadzieścia osiem dróg przez miasto z bronią i amunicją w kieszeniach, z granatami i butelkami w teczkach, ze stenami wypychającymi płaszcze. Pod nim kryje się konieczność precyzyjnej punktualności, mimo napotykanych na mieście patroli, mimo zakłóceń komunikacyjnych. Pod nim kryje się wreszcie to najtrudniejsze: wkomponowanie się w tło ulicy, udawanie całkiem naturalnej, obojętnej sytuacji, podczas gdy serce wali jak młotem, gdy oczy rejestrują każdy najmniejszy ruch wokół, a uszy alarmują na każdy najmniejszy szmer.

„Mietek” nadszedł również w momencie koncentracji. Na jego widok stojący już na stanowisku dowodzenia „Orsza” i „Zośka” poderwali się nerwowo. Czekali na jedno słowo. Tymczasem z pierwszego już zdania wynikało jasno, że decyzji nie ma, że od spotkania pod fontanną nic nie postąpiło naprzód. Kontaktów z wyższymi przełożonymi nie udało się nawiązać, Kiwerski nie wrócił. „Mietek” pozostał sam wobec trudnej decyzji. Informacje o gotowości oddziału, wpatrzone w niego oczy dwóch rozmówców — wszystko to zahamowało wypowiedzenie negatywnej decyzji. W głębi kłębiły się myśli: „Rudy”, oddział, gotowość do walki, odpowiedzialność... W oczach stała nieszczęsna dorożka ewakuacyjna, wyobraźnia nasuwała niedostatki sanitariatu... W tym momencie meldunek o telefonie od „Wesołego”: „Rudy jedzie! Więc mimo wszystkich trudności cała koronkowa robota wywiadu, sygnału, koncentracji przebiegała sprawnie. Teraz już tylko walka. Sekundy... Wahanie trwa... Odpowiedzialność... Prywata... Karność... Sekundy... Przerywa głos „Orszy”: „Decyduję odwołanie akcji”. Po wielu latach w książce „Całym życiem”, dowódca akcji pod Arsenalem napisze: „Chłopcy przeżyli bardzo trudny moment, gdy wśród napięcia wywołanego zbliżaniem się chwili uwolnienia przyjaciela, usłyszeli ten odwoławczy rozkaz. Egzamin, przed jakim stanęli, zdali jednak bez zarzutu. Pełna lojalności karność była ich jedyną odpowiedzią. Wzorem zaś tej karności okazał się najbardziej zaangażowany uczuciowo Tadeusz Zawadzki” (...)

Pozostało więc czekanie... Przez ten czas udało się uzupełnić wyposażenie i kupić okazjnie zresztą starą dekawkę.

Zorganizowano sanitariat na czele którego stanął znany chirurg, przyjaciel tych młodych ludzi — dr Andrzej Trojanowski. Gdy przyjaciele „Rudego” trwali w oczekiwaniu na ostateczny rozkaz, on sam poddawany był nieludzkim torturom i moralnym udrękom. „Zośka” w swoich zapiskach tak relacjonuje zwierzenia przyjaciela ze śledztwa: „Czeka mnie śmierć, ale nie na polu bitwy. Nie jako straceniec nawet, któremu zostawiają ostatnie chwile dla porachunku z sumieniem — śmierć taka którą jak wyzwolenie traktować można, na którą się czeka, której się szuka. Dzisiaj wszyscy najbliżsi pozostali poza rzeczywistością, została rzeczywistość: ból

fizyczny, od którego omdlenie tylko chroni, albo śmierć. Został oddech, który staram się dopasować w takt razów, dłonie miażdżone obcasami na posadzce, żebra łamane uderzeniami butów, gdy omdlały upadam na ziemię. I w tym wszystkim zmuszam się do szalonego wysiłku woli, żeby nic nie powiedzieć, żeby się nie mylić, żeby wytrzymać... I całkowita beznadziejność: musisz powiedzieć, albo będziesz bity do śmierci. Tu oprzeć się chceniu: powiedzieć — a przestaną cię bić choć na chwilę, powiedzieć — a skończy się to piekło — to wymaga bohaterstwa, jakiego równego wyobrazić sobie nie można”.

26 marca, w piątek przybył wreszcie do Warszawy mjr J. W. Kiwerski, który po spotkaniu z Florianem Marciniakiem i po przeanalizowaniu planu akcji, wydał najkrótszy rozkaz: „T r z a s k a é”. Natychmiast Florian Marciniak przetelefonował: „Decyduję byście załatwili tę transakcję”. Czekający przy telefonie, w restauracji na Długiej, Andrzej Wolski „Jur”, otrzymuje od Zygmunta Kaczyńskiego „Wesołego” zaszyfrowaną wiadomość przez telefon: „Wysyłam towar, bezwzględnie musi być odebrany”, co oznacza, że „Rudy” jedzie na Pawiak. Następuje gorączkowe przygotowanie oddziału, który znów zajmuje wyznaczone stanowiska. Napięcie nerwów wzrasta do granic wytrzymałości.

„Orsza” wraz z Miłosławem Cieplakiem ps. „Giewont” ruszają riksą na miejsce akcji. Już tylko minuty... sekundy..., wreszcie godzina 17.30 — Sekcja „sygnalizacja” daje znak, że więźniarka nadjeżdża. Uczestnicy akcji chwytają za broń. Widzi to granatowy policjant, który też sięga po broń. Pada od strzału „Zośki”, ciężko ranny. Strzał słyszy kierowca nadjeżdżającej więźniarki, szarpie kierownicą, usiłuje „umknąć” w ostatniej chwili. Jest jednak za późno. Atakują go uczestnicy sekcji „butelki”, którą dowodzi Jan Rodowicz „Anoda”. Obrzucają butelkami maskę wozu i szoferkę. Szofer osuwa się bezwładnie, dwaj gestapowcy w płomieniach, otwierają drzwi więźniarki i wypadają na jezdnię. Silnik płonie, wóz toczy się po jezdni coraz dalej. Siedzący w tylnym pomoście wozu dwaj konwojujący gestapowcy, otwierają ogień do atakujących. Do leżących na bruku dopadają uczestnicy sekcji „sten I”. Ranny uprzednio przez „Zośkę” granatowy policjant oddaje strzał, raniąc w brzuch Tadeusza Krzyżewicza „Buzdygana”. Kryzys przelamuje „Zośka”. Podrywa ostatkiem sił psychicznych innych, którzy dopadają do więźniarki. Jeden z rannych gestapowców osuwa się na ziemię, drugi ginie. Klapę ciężarówki otwiera Eugeniusz Köcher „Kołczan”. Więźniowie wyskakują i rozpraszają się w pobliskich ruinach. Oczom przyjaciół ukazuje się „Rudy” ciężko skatowany.

„...Trwa chwila szczęścia spowodowana widokiem gromadki uwolnionych, słyhać radosne, podniesione głosy: Jest „Rudy”! Jest! Dekawka wstecznym biegiem podjeżdża do więźniarki. Koledzy ramionami podpierają „Rudego”. W jego szeroko otwartych oczach, jak-

by cień uśmiechu. Lecz wygląda strasznie. Twarz szarozółta, jakby zmaląła, jakby skurczyła się. Głowa огоłona do skóry (Gdzież te wesołe jasne włosy?...). Pokryty jest sinymi plamami i zakrzepłą krwią. Granatowe ubranie wymięte, poszarpane i jakby wilgotne. A nade wszystko ten skurcz bólu, przy każdym ruchu, ten cichy jęk. Szybko! Szybko! „Rudy” jest już w samochodzie. Dekawka rusza, później dopiero słychać trzaśnięcie zamykanych drzwiczek. „Zośka” natychmiast zmienia magazynki w pistoletach. Jest gotów do walki, do przełamania każdego oporu. Dekawka pędzi Długą w stronę Starego Miasta. Wóz prowadzi Jerzy Zborowski „Jeremi”. Właściwie po akcji... Jest godzina 17.45”.

....,Nieraz kiedy po latach spotykałem się z kolegami, którzy brali udział w odbiciu „Rudego” — powie „Orsza”, staraliśmy się przypomnieć sobie ten fakt. Pamiętaliśmy to, co działo się 26 marca 1943 roku, między godziną 17.30—17.45, aż do najdrobniejszych szczegółów. Ale pogoda w tamtym krytycznym dniu?... Na pewno nie było śniegu i nie padał deszcz. Dzień był jasny, choć pochmurny. Było chłodno”...

W wyniku akcji, po 15 minutowej wyczerpującej walce, oprócz „Rudego” uwolniono 24 więźniów, zlikwidowano konwój auta więziennego. Podczas akcji zostali śmiertelnie ranni: Aleksy Dawidowski „Alek” i Tadeusz Krzyżewicz „Buzdygan”. Zatrzymano i zamordowano w śledztwie Huberta Lenka „Huberta”. Straty niemieckie wynosiły 4 zabitych i 9 rannych.

W odwet za katowanie Janka Bytnara, Kierownictwo Walki Konspiracyjnej nakazało zlikwidować najbardziej okrutnych oprawców oberscharffführera Augusta Langego z warszawskiego gestapo i oberscharffführera Schultza również z warszawskiego gestapo, zaś 22 maja tego roku na Placu Trzech Krzyży „dopadli” Augusta Langego, zaś 18 lipca tegoż roku na stacji w Józefowie zastrzelono konfidenta gestapo Sommera, który spowodował ujęcie Huberta Lenka.

Z 28 uczestników akcji, przeżyło wojnę 8. Dzisiaj, od tamtej chwili upływa 44 lata. Wyobraźnia nasza sięga do tamtych czasów, wstrząsanych straszną przemocą, do tamtej atmosfery, która wprowadzała w stan panicznego strachu, napięcia i niepokoju, ustawicznego załamania. Realizm codziennych doznań, bolesna rzeczywistość każdej godziny, nie pozwalały marzyć o odzyskaniu wolności. A jednak... Ta wolność i ta nadzieja tliły się w każdym gorącym polskim sercu, na przekór doznaniom, egzekucjom, obozom koncentracyjnym, na przekór bolesnej codzienności.

Pod tą udręczoną codziennością pulsowała krew i biło serce narodu: ....„Czy widzicie nasze pięści kipiące”? — pytał wroga poeta konspiracyjny, stwierdzając:

Polskę wymodlą karabiny przewiązane krepa  
Przy akompaniamencie śmierci.  
Łodygi karabniów zakwitną stałą bagnetów —  
Takie kwiaty wepchniemy psubratom w piersi.  
Gotowe na wszystko kolędują serca.  
Pod jaskinie zbrodniarzy podłożyc dynamit,  
Powstaniem na rozkaz Wodza rozlać się bezbrzeżnie.

Zwyciężyć!!!

Wśród wieloznacznych wymiarów, jakie przyniosła udręczonemu narodowi, akcja pod Arsenalem, jeden wydaje się być najważniejszy, czy też bardzo ważny. „Była uderzeniem w najbardziej zniewawidzony przez Polaków przejaw siły i bezprawia okupanta, w znęcaniu się nad więźniami i prowokacyjne, bezkarne wożenie ich na oczach wszystkich: była więc zerwaniem mitu o wszechpotężde gestapo, zerwaniem wyprostowującym przygniecionych ciężarem bezsilny Polaków”...

O powodzeniu zaś akcji zadecydował przede wszystkim głęboki patriotyzm młodzieży, wychowanej w miłości do własnego kraju. Tę miłość zdobywało się wtedy w rodzinnym domu, dobrej szkole i wspaniałej wówczas organizacji młodzieżowej, jakim niewątpliwie był Związek Harcerstwa Polskiego.

Decydująca jednak rola w wychowaniu, przypadła domowi rodzinnemu. Atmosferę tych domów scharakteryzował autor „Kamieni na szaniec”, mówiąc, że są to domy, które stwarzają warunki zdrowego rozwoju psychicznego i fizycznego, tworzą między członkami mocną więź, która pozwala wzrastać i owocować. Atmosferę takiego domu wspomagała szkoła, w której istniała ścisła więź między wyznawanymi i głoszonymi ideałami, a codziennością uczynków i postępowania w życiu. Postawy młodzieży kształtowała również organizacja harcerska, która stawiała swoim członkom wysokie wymagania... „Posłuchajcie opowiadania o Alku, Rudym, Zośce i kilku innych cudownych ludziach... Posłuchajcie opowiadania o ludziach, którzy w tych niesamowitych latach potrafili żyć pełnią życia, którzy w życie wcielić potrafili dwa wspaniałe ideały: Braterstwo i Służbę”.

## CZAS PRZYJAŹNI

Leżysz śmiercią zwalony na ziemi,  
W piersiach tchu, w żyłach krwi już nie starczy.  
Twarda ziemia jak tarcza słowiańska...  
Poniesiemy Cię Bogu na tarczy.  
O! Nie płaczcie! Niech buchnie w niebo pieśń!  
O! Nie płaczcie! Ściśnijcie mocniej pięść!  
W żyłach tętni nam rytm krwi jego bratni,  
W piersiach mamy jego dech ostatni,  
Jego dech...  
Czemu od nas odszedłeś, kolego,  
Czemu w marszu ustały ci nogi?  
Tak nas mało wciąż w młodych szeregu...

— Wacław Bojarski —

Przyjaźń... „Czy odczułeś już, w życiu swoim siłę jaką przyjaźń daje? A może i inne dobra przyjaźni? Przyjaźń to uczucie wiążące ludzi, w którym u podstawy leży nie tylko jakaś wspólna postawa wobec czegoś najważniejszego, ale i serdeczna wzajemna bliskość, troska o los przyjaciela, poczucie tęsknoty do przeżywania z nim razem różnych zjawisk życia” — mówi Maria Grzegorzewska.

Z tą troską o los przyjaciela, podejźmy jeszcze raz pod Arsenał. „Odwrót. Zgodnie z planem odbywa się ulicą Długą, w stronę Starego Miasta. Giewont i Orsza wycofują się ostatni. Rzut oka wstecz — na placu nie pozostał już nikt. Wszyscy biegną... Lecz nagle co to? Z przodu strzelanina. To z bramy niemieckiego Urzędu Pracy, osławionego Arbeitsamtu.

Wąska ulica zostaje tymi strzałami całkowicie zablokowana. Ostatnia część wycofującego się oddziału odcięta. Na przedzie tej ostatniej grupy biegnie Alek. Nagle padają te przekłete strzały. Strzelają niemieccy urzędnicy Arbeitsamtu. Jeden pocisk trafia Alka w brzuch. Alek zwiąja się i pada na jezdnię. Biec dalej nie może. Od bramy będącej dla reszty oddziału przeszkodą, zda się nie do pokonania, dzieli go zaledwie parę kroków. Poczucie obowiązku przewycięża ból fizyczny. Alek z wysiłkiem rozprostowuje się i tak z postawy leżącej ciska granat do wnętrza bramy. Huk, dym. Reszta



Aleksy Dawidowski „Alek”

„Był na wskroś męski, niezłomny w swoich decyzjach, które umiał podejmować błyskawiczną szybkością, człowiek nie uznający przeszkód niepokonanych, człowiek potrafiący zachować zimną krew w chwilach, które decydują o życiu i śmierci”.

(Aleksander Kamiński)

członków oddziału, poderwana komendą, wpada w ten dym i po chwili wszyscy są za tą, chyba ostatnią, przeszkodą. Cała akcja, pomijając już jej sens istotny, pełna była scen świadczących o wielkiej przyjaźni i braterstwie spajającym Grupy Szturmowe. Jedna z takich scen powtórzyła się przed chwilą. Gdy Alek odbezpieczał granat, jak spod ziemi, wyrósł obok niego Niemiec — cywil, mierzząc doń z pistoletu, prawie przykładając lufę do głowy. Wówczas równie niespodziewania zjawia się Anoda, i bez namysłu, z dwóch trzymany w rękach rewolwerów pakuje pociski w brzuch Niemca. Alek jest uratowany”.

„Pozostaje tylko przyjaźń męska, która nie potrzebuje widoku i dotknięcia ukochanej osoby. Na niej tylko warto budować fundamenty przyszłego życia” — pisał kiedyś do Duński brat Janek.

W życie Rudego przyjaźń wkroczyła wraz z nadejściem Pomarańczarni, pogłębiła się i wzrosła ostatecznie czasu rany krwawej...

Tadeusz Zawadzki odnotuje: „...Staraliśmy się ująć słowami nasze troski i zainteresowania, podzielić się swymi spostrzeżeniami, poznać siebie nawzajem. Łączyła nas sympatia i szczerzyliwi byliśmy, znajdując wspólne zainteresowania... Nie okazywaliśmy go sobie i nie wiedziałem o ile to prawdziwa przyjaźń, a o ile przejściowa sympatia. Wtedy najwięcej denerwowałem się robotami małego sabotażu, wtedy kolosalnie zależało mi na zrobieniu mu przyjemności na imieniny.

Wspólne noce na Agricoli i nie jedna nad kreślonymi przez niego arkuszami — to coraz lepsze wzajemne porozumienie. To okres prawdziwego rozumienia naszej pracy, to coraz to nowe pierwiastki odkrywane i natychmiast wprowadzane w życie. Dwudniowa wycieczka do Popiel, to dwa dni oddane prawdziwemu odpoczynkowi i przyjemności. Każdy z nas chciał, by drugiemu było jak najprzyjemniej. Przejście do Grup Szturmowych związało nas ostatecznie i nierozdzielnie. Poprosiłem go od pierwszego dnia o pomoc i dawał mi ją do dnia ostatniego. Gdy błdziłem lub nie mogłem sobie dać rady, pomagał mi, zwracał uwagę, ale zawsze tak delikatnie, aby znów moich ambicji nie urazić. W ostatni poniedziałek przed odprawą pytał mnie, czy może mnie na odprawie zaatakować. Atak ten zresztą, tak był przez niego przeprowadzony, że tylko ja jeden orientowałem się, że i do mnie jest skierowany. Przez ostatnie dni dosłownie, nie rozstawaliśmy się ze sobą. Jak zwykle w ostatnich czasach nasze poglądy wyrażały jedno: rozumieliśmy się doskonale... Jego własne osiągnięcia na polu doskonalenia się i samokształcenia były naprawdę duże”.

W tym czasie Rudy był w świetnej formie psychicznej i fizycznej. Chłonał całą powierzchnią życia literaturę, usiłując chwycić „ów grunt” i „owo powietrze”. Umysł 22-letniego mężczyzny był w stanie ciągłego niepokoju w poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące go pytania społeczne, filozoficzne, pedagogiczne.

Ileż to razy z Zośką, podejmowali zagadnienie naprawy świata, zagadnienie rozwoju własnej osobowości, problem samotności człowieka.

„Najważniejszym celem człowieka jest służyć społeczności — być zawsze odpowiedzialnym wobec siebie i drugich” — mówił Tadeusz.

„Na tym zapewne polega rozwój całej ludzkości” — konkludował Janek, po chwili zaś dodał: „zrozumiałem, że jak się człowiek zagubi w swoim życiu, zabiega za rzeczami, to nie pamięta o drugich, nie rozumie po prostu czyjegoś cierpienia i bólu. A szkoda, bo w życiu każdego człowieka niezbędny jest pewien ład i rozrost wewnętrzny, pewien spokój, jaki dać może jedynie poczucie, że nikomu nie wyrządziło się krzywdy. Po chwili milczenia mówił dalej:

Bo tak już w życiu jest, że gdy człowiek odchodzi, nie pozostaje po nim właściwie nic poza dobrem, które uczynił innym. To jest cały sens życia człowieka”.

„Istotnie — odezwał się z kolei Tadeusz. — Dla tego, kto na tym świecie zdołał wyzwolić się od samego siebie, życie stanowi pewną rzeczywistość dojrzewającego ziarna, pewną atmosferę wigilijnego stołu. Do tego przecież zmierza ludzka tęsknota, podążając wciąż za duchem wielkiej wspólnoty, życzliwości i solidarności. Nawet tego, co otrzymujemy w talentach, w pięknym dzieciństwie, w harmonijnych stosunkach domowych, w sukcesach, nie wolno nam przejmować jako coś własnego, osobistego. Jest to właściwie zaciągnięty dług, który życiem należy płacić życiu”. Ostatnie słowa „Zośka” wypowiedział szczególnie mocno i zamilkł z refleksją w oczach...

Po chwili Rudy zapytał przyjaciela: „Czyż nie jesteśmy marzycielami, w chwili, kiedy cała ludzkość przeżywa duchowy kryzys, kiedy Polska boli?”.

„W młodzieńczym idealizmie — starał się odpowiedzieć Zośka — dostrzega człowiek prawdę. Gdyby ludzie byli takimi, jakimi jesteśmy my dzisiaj, świat byłby zupełnie inny, po prostu „ludzki” i „człowieczy”, entuzjastyczny i bezkompromisowy w realizacji marzeń i głodu sprawiedliwości społecznej”.

„Czy młodość w swoich dążeniach idealistycznych nie jest w gruncie rzeczy najbardziej samotna? — przerwał mu Janek. — „Nie — odpowiedział Zośka. — Nawet śmierć jest bezsilna wobec ideałów młodości — podobnie, jak bezsilna jest wobec dobra, które nigdy nie jest samotne”. — Rzeczywiście. masz rację — potwierdził Janek. — Młodość przeżywa się raz. Są ludzie, którzy potem długie lata niosą w sobie pustkę i żal, że przeminęła, że nie wróci. Lecz są także inni, którzy z niej biorą ze sobą w życie bezcenny skarb marzeń, chłonięcie wszystkiego co wokół, zawieranie gorących przyjaźni, mierzenie swoich wspólnych sił na swoje i wspólne zamiary...

Więc młodość trzeba przeżywać tak, by stawał się, by rozrastał się człowiek. Tego czasu, tych lat, miesięcy, dni, godzin zmarnować nie wolno. One nie wróca... Jest to istotnie nadzwyczajny i chyba najważniejszy atut życia, którego nie wolno zaprzepaścić.

Tylko — mówił dalej — tej młodości, jakże często przeszkadza „ogień” naszego ciała.. On to właśnie stanowi prawdziwy koszmar. Trzeba wielkich wysiłków, aby uzyskać od ciała zgodę na warunek podobny męczeństwu, gdyż człowiek jest słaby, a cena zbyt wygórowana”.

„Wydaje mi się — rzekł Tadeusz — że niektórzy tylko, zostali powołani do tego, by przez ten ogień, zamiast do cielesnego związku, dojść do progu najwyższej sublimacji uczuć, do twórczego aktu ofiary w wylądowaniu jej samej, jak piorun osłepiającej siły”...

Zmierzch zaczął okrywać powoli ziemię, gdy dwaj dyskutanci spostrzegli, że słońce kładzie w okna ostatnią już pieczęć dnia.

Wracali do domu, wisząc z tyłu tramwaju, a potem biegli przez ulice Warszawy, by znowu za chwilę, już przez telefon powiedzieć do siebie o kolejnym spotkaniu, o kamiennym węzłówku, o niebie pełnym gwiazd... i o żurawiach niosących już Polskę...

To było jeszcze wczoraj, zaś dziś: (..), „ogolona głowa, twarz zielonożółta, zapadnięte policzki, olbrzymi siniec pod okiem. Patrzył na mnie olbrzymimi, szeroko rozwartymi oczami. Dłonie miał czarne i spuchnięte. W wielu miejscach strupy i zakrzepła krew”.

W jakiejś chwili Rudy rozejrzał się wokół i między jednym, a drugim paroksyzmem bólu zapytał szeptem: „Gdzie Zośka?” — Powinien już tu być — powiedział któryś. Posypały się pytania, że może coś w drodze, kto wie... Rósł niepokój, gdy nagle Zośka stanął w drzwiach. W ręce maleńki bukietek fiołków. Szukał ich po całej Warszawie, ledwie je znalazł — tłumaczył. Kucnął przy noszach i delikatnie, żeby nie urazić, wsunął je w rękę Rudemu. Opuchłe wargi rannego rozchylił uśmiech. „Fiołki? Jakżeś je znalazł? Pod śniegiem? Jakżeś je znalazł mój drogi?” — zapytał. I nagle pokonany nowym skurczem bólu, zapadł w ciemność.

Którzy bezprawiu mówią NIE  
to choćby nawet słabi byli  
to choćby nie najmądrzej żyli  
Solą tej ziemi  
są  
tak Bóg  
prosto po liniach pisze krzywych

O ósmej wieczorem przyszli chłopcy — Sem i Kołczan oraz dwóch innych, do matki Janka, na ulicę Wiśniową, do mieszkania prof. J. F. Dziedziców, gdzie się ukrywała po aresztowaniu męża i syna, by ją zaprowadzić na spotkanie z uwolnionym Jankiem.

„Janek leżał cały w bandażach — powie Bytnarowa. — Zapytałam go jak matka: Jasieczku, co cię boli? Poruszył jednym wolnym palcem i uśmiechnął się serdecznie. Nie, nie rozpaczalam — doda, lecz kołłam słowami, krzepiłam nadzieją wyzdrowienia, sama nie mając nijakiej nadziei w sobie”...

W chwilę po odejściu matki, zbolaly do ostatka Janek, powie do Tadeusza: „Wszystkie matki mają w sobie pewien rodzaj miłości, którą można zapalić cały świat dobrocią i wyrozumieniem. I tylko one mogą nauczyć człowieka kochania tego, co najpiękniejsze w każdym z nas i na ziemi... Tylko z kochającej rodziny może wyjść kochający ludzi człowiek”.

Gdy Janek skończył, Tadeusz wydobył notes z kieszeni i wzruszającym głosem odczytał fragment wiersza ich wspólnego kolegi z Batorego — Krzysztofa Kamila Baczyńskiego:

Matko — powiedział jeszcze — to nic, że ja daleko,  
że nas rozdarła ciemność i ból, co tkwi jak nóż.  
Ja w Tobie. A Ty we mnie płyniemy strugą, rzeką  
złocistą, drżącą strugą, gwiazdami lśniących róż.  
Bo nie ma rozerwania, choć rozerwane słowa,  
Bo nie ma zapomnienia, choć życie nas zapomni  
Z brzęczących kręgów nieba ja w Ciebie. A ty do mnie  
płyniemy...

Zrobiło się cicho. Nikt nie przerywał głębokiego milczenia. Aleksander Kamiński zapisał: (...), zmieniali się koło niego ludzie, ktoś najbliższy z rodziny, przyjaciele, ale jeden człowiek trwał w pokoju bez przerwy: Zośka”.

W nocy Rudy zasnął. Zasnął również Zośka, położywszy się na łóżku polowym obok. Zośka spał spokojnie po wyczerpujących nerwy godzinach ostatnich paru dni, po cudownym zerwaniu koszmaru uwieżienia, pewny, że przyjaciel jest bezpieczny i szczęśliwy. Tak mijały powoli godziny tych kilku dni bólu, przeplatane szczęściem i szczęścia przeplatane bólem. Rudy niczego nie mógł trawić. Ciągle wymiotował. Gdy po skurczach bólów wygładzała mu się twarz, powtarzał: jak rozkosznie, jak rozkosznie. Gdy zostawali sami, sprawiało mu przyjemność trzymanie ręki w dłoni przyjaciela. „Kamyk” dodaje: rozmowa była wtedy otwarta, szczerą i żaden nie starał się ukryć, tak jak dawniej, nieśmiało wyrażanych uczuć”.

Pamiętasz? Wszystko było jasne,  
a cel — by sprawie wiernym być...

W pewnej chwili Janek uniósł się, chyba jakimś już nadludzkiem wysiłkiem woli. Podbiegł do niego szybko Tadeusz, aby podtrzymać słabnącego coraz bardziej przyjaciela. Janek zaczął przenikliwie wpatrywać się w twarz Tadeusza. W jego oczach, pełnych teraz

udręki, a zarazem tkliwości pojawiły się łyzy. Łkając, dobywał z siebie coraz bardziej urywanym głosem, ostatnie już zdania, przechwywane gdzieś na dnie serca dla przyjaciela. Przejmował je Tadeusz ze zdławionym oddechem, półprzytomnie:

„Kaźde Twoje słowo... było dla mnie światłem w ciemności... a więc nadzieją. Dziś bardziej niż kiedykolwiek indziej wiem..., że byłeś jednym z nielicznych..., który widział w tym co robiłem wartość najwyższą..., przez co nadałeś mojej egzystencji sens..., spowodowałś mój rozrost..., wzbogaciłś mnie o wielkie..., dzisiaj widzę, że największe wartości przyjaźni”.

Dwie wielkie łyzy stoczyły się po policzkach Janka na dłoń Tadeusza, który nie wytrzymał naporu tej chwili, czyniąc z serca noc słotną i ciemną... Dał się wyogromniła jak zwykle na przedwieczorz. Opalowe chmury płynęły falą wrzącą, niosąc chłód bliskiego popołudnia. Gdzieś niedaleko okien, śmignęły dwa gołębie, unosząc ze sobą pod niebo płacz Norwida. Nagle konary drzew poczęły rodzić poloneza Ogińskiego „Pożegnanie Ojczyzny”.

Prawda, której nie dopuszczali do świadomości, stawała się coraz bardziej okrutna.

Janek odchodził... W umyśle Tadeusza zaczęło wirować bezustanne: Dlaczego?... Dlaczego?... Co dalej? Jak ponieść hiobową wieść matce o zgonie syna, rodzinie, bliskim i dalekim?...

W pewnym momencie tego bólu i trwogi, rozpaczy i beznadziei, oczy Tadeusza spotkały się z Chrystusem Dolabellego, ku któremu pociągnął zboląły, aby wydobyć jeszcze raz ten krzyk i jęk zranionego przez życie człowieka. To wtedy wyrwało się z jego trzewi: „drzewa mocno zakorzenionego nie można wyrwać bez jęku ziemi”... I przez łyzy: „Nikt zastąpić nie zdoła”...

Gdzieś z oddali przybyło echo kościelnego dzwonu. Przez nici pajęczce okna wpadło kilka zapóźnionych promieni marca, srebrząc postać zmarłego aureolą ciepła, aby za chwilę spocząć tym samym ciepłem na twarzy udręczonego Tadeusza.

Charon i Chronos zapisali „in libro mortuorum” znamiennej datę: 30 marca 1943 rok...

W kącie izby trwał ktoś jeszcze, na wpół umarły, na wpół skamieniały — Jan Rossman ze swoją głębią Polski...

„Odchodzą jeden za drugim, jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec. Ale rzucone nie w nicość, nie na zmarnowanie. Jeden przy drugim twardo stoją, trzymają się razem. Jak cegła przy cegle. Wznoszą się ściany wielkiego domu. To nic, jak przyjdzie być martwą cegłą nieruchomą tego domu. Kaźdy wszędzie musi o nim myśleć”...

Nad Warszawą zaczęło płynąć piolunowe niebo. Aleksander Kamiński napisze o Zośce: „Stracił sprężystość, tylko siłą woli wymuszał na sobie załatwianie bieżących spraw organizacji i życia codziennego”.

Kiedyś zagadnięty przez najbliższych wyrzucił z siebie w wielkim bólu: „Jest we mnie mróz i noc ślepa i czas wygasły tak jak popiół”...

Matka Janka Bytnara odnotowała obraz Tadeusza tamtych dni:

„W jego głębokich, nadzwyczaj poważnych i przerażająco teraz smutnych oczach osiadła konieczność uwolnienia się od świata i z drugiej strony potężne działanie woli, wyższej nad świat, która zobowiązywała tego człowieka do etycznego wyboru dalszej drogi życia... W tym wyborze przewijała się nieustannie niezgoda wobec zaistniałej sytuacji, chwilowe zagubienie wartości i perspektyw życia — celu własnego istnienia. Dzień i noc toczył dialog z sobą, nie mogąc rozwiązać sensu ludzkiego cierpienia i zła na świecie”.

W tych ciężkich dla siebie chwilach, próbował potwierdzać swój wybór, wyborem egzystencjalnego poety:

Jedno wiem i innych objawień  
Nie potrzeba oczom i uszom —  
Uczyniwszy na wieki wybór  
W kaźdej chwili wybierać muszę.

I nadal tkwił w bolesnej rezygnacji, z której wyrwał go jedynie dźwięk słowa Polska. Ożywał wtedy na chwilę, mówiąc, że tę Polskę najlepiej było widać z okien kolbuszowskiej chaty, w której przyszedł na świat „Rudy”.

Atakowany o celowość ofiary setek, tysięcy młodych ludzi, odpowiadał z przejęciem: „Powiedzieć Nie obcej brutalnej sile, to znaczy zaprzeczyć zniszczeniu tego, co zostało osiągnięte przez narodowe serce tych właśnie setek, tysięcy już, młodych ludzi, rzuconych na stos ofiarny z miłości do Polski wolnej i sprawiedliwej”.

Temu i owemu, który rzucał „w twarz” bolesne oskarżenie o rosnącej wciąż liczbie brzożowych krzyży, odpowiadał z pewną irytacją w głosie: „To i tamto drzewo pada pod siekierą, a tymczasem cały las rośnie i pnie się ku górze”...

Heroizm nie znaczy w mundurze  
przechodzić  
Wśród trąb i wśród nieba  
trzasku,  
heroizm to czasem pisanie  
na piasku  
palcem — krzyżyka w rocznicę  
urodzin...

Z pogrzebem Janka były ogromne trudności. Gestapo przeszukiwało listy zmarłych po szpitalach, zaglądało do krypt kościołów, tropiło po całej omalże Warszawie, by pochwytać sprawców akcji, lub chociażby natrafić na najmniejszy jej ślad. Matka Rudego sie-

działa zakonspirowana u p. Marii Fromowiczowej, na Zoliborzu, przy ulicy Krasińskiego, rozpaczając po stracie syna.

„Traciłam zupełnie orientację, szarpiąc się z myślami, pytając wciąż siebie o sens i wartość mojego życia teraz na ziemi... Obsesyjnie wracała świadomość o Jasiu, mężu, Dusi, staruszce matce”.

1 kwietnia przyniesiono wiadomość, że ciało Jasia przewieziono wieczorem do kościoła św. Józefata na Powązkach i że następnego dnia odbędzie się konspiracyjny pogrzeb.

Ból matki nabrzmiewał dniem i nocą. Powiększył się jeszcze bardziej w dniu pogrzebu, bowiem zabroniono jej wzięcia udziału w pogrzebie syna. Tę bolesną chwilę zapisze czas:

„Prosiłam, błagałam, zaklinałam na klęczkach. Pułkownik Stanisław Fromowicz był twardy, nieugięty. Przypomniano mi wielką odpowiedzialność za ludzi, którzy zorganizowali ten pogrzeb. Odwołano się w końcu do dzielności i braterstwa. Zostałam więc pod opieką wspomnianej M. Fromowiczowej, nie rozumiejąc co do mnie mówi i jak pociesza”...

W późnych godzinach popołudniowych przybyło dwóch chłopców po matkę Rudego, aby ją zabrać na świeżą mogiłę Janka. Wybiła właśnie godzina 17. Wsłuchajmy się jeszcze raz w cierpienie matki po stracie syna:

Nie pamiętam już, czy szłam, czy jechałam. Weszliśmy na cmentarz wojskowy „wyrwą” w bocznym murze i stanęliśmy za chwilę przed samotną mogiłą, zasłaną tylko świerkowymi gałązkami. Jeden z chłopców zapalił świeczki. Za chwilę z różnych stron zaczęła się schodzić wierna Jasiowi gromadka osieroconego „Sadu”. Ścisłe otoczyli mogiłę. I wtedy przemówił Tadeusz do mnie i do nich. Nie byłam jednak w stanie nic zrozumieć z tego przemówienia, bowiem wszystko wokół mnie wirowało i uciekało w nieskończoną dal... Trwałam, dzięki podtrzymywaniu mnie przez chłopców. Pamiętam jedynie, że w pewnej chwili Tadeusz pochylił się do moich rąk, ja zaś oddałam mu matczyne pocałunek. Potem cała gromadka „Sadu” powtórzyła za Tadeuszem ślubowanie trwania na posterunku w Przyjaźni i Służbie (...) idąc śladami ukochanego dowódcy. Następnie utworzono krąg wokół świeżej mogiły i odśpiewano półgłosem „Wszystko co nasze Polsce oddamy”, a potem powiązano ręce harcerskim zwyczajem i pożegnano Jasieczka znaną pieśnią: „Idzie noc...”

Spoczął Janek pod przybranym nazwiskiem Jana Domańskiego — ukochanego wychowawcy z Batorego — niezapomnianego Zeusa”.

W dniu 30 marca na Wieczną Wartę odszedł również Alek. Jeszcze na kilka godzin przed swoją śmiercią, pytał o zdrowie Rudego, przesyłając mu jedną, jedyną pomarańczę, jaką otrzymał w darze od najbliższych. P r z y j a ż n...

Pisze siostra Zośki — p. Anna Zawadzka: „Tadeusz boleśnie przeżył śmierć Janka Bytnara. Długo nie mógł się z tym pogodzić. Wtedy właśnie zaczął pisać relację, nadając jej tytuł: „Kamienie rzucane na szaniec”.

„Zostałem sam... zupełnie sam — powie Zośka. — Rudego nikt mi już nie zastąpi”.

Może ta ciągła tęsknota za przyjacielem, powiodła Zośkę pod Sieczychy owego upalnego lata 1943 roku.

W ciszy nocnej słyhać bicie zegara w strażnicy. Jest 23.30. Andrzej podnosi rękę. Szykujemy się do biegu. Ręka opada... Przez wąską bramę, przed którą leży trup wartownika, wpada na ganek strażnicy Maciek i kółba stena stara się wyważyć drzwi. Za nim wskakuje Anoda i przez okna z prawej strony wrzuca do środka granat. Wpadam przez bramę do wewnątrz ogrodzenia wraz z Andrzejem, tuż za Zośką, wskakującym właśnie na ganek. Nagle, w lewym oknie spostrzegam krótki błysk. Zośka przez chwilę nieruchomieje, potem przegina się do tyłu i wali na ziemię. Z rąk wypada mu dymiący jeszcze pistolet. Lekarz. Sanitariuszki. Bierzymy Zośkę i wynosimy na drugą stronę drogi, gdzie w rowie można go będzie opatrzeć”...

Rudy! Rudy! To na pewno on. Złocista rozwichrzona czupryna — to on. Nareszcie razem znowu w walce. Kochany... teraz ja ranny...

„...Gdzieś daleko wyje przeciągle syrena alarmowa, a po niebie rozlewają się majestatycznie gwiazdziste rakiety... Koło załadowanych wozów leży na kocu Zośka. Błysk latarki w ręku doktora oświetla mu obnażone piersi: z lewej strony, cienkim strumyczkiem sączy się krew. Dr Brom nachylony. Słucha. Podnosi głowę i patrzy na nas długo. Zrozumieliśmy — Zośka nie żyje... Prosto w serce”...

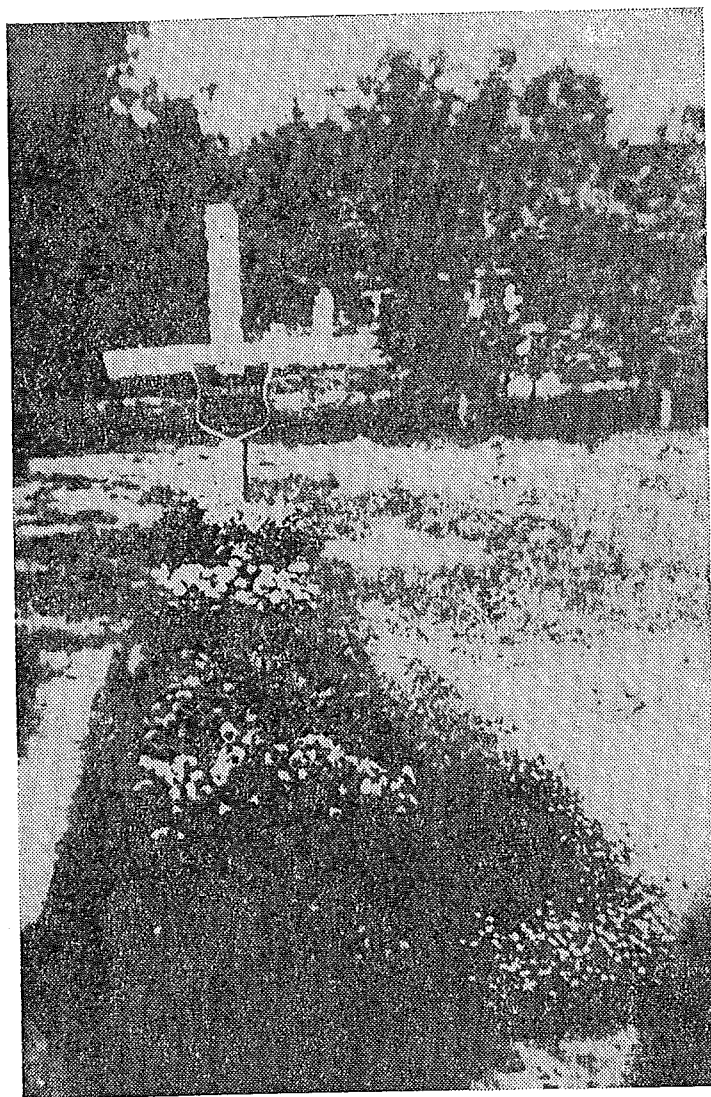
Pochowano Zośkę na powązkowskim cmentarzu wojskowym, nie tak, jak tego pragnął, obok Janka Bytnara. Wojenna kolej losu, rozdzieliła ciała i dusze bohaterów o kilka zaledwie pędzi polskiej ziemi. I tak wyrósł kolejny brzoźowy krzyż. P r z y j a ż n...

W jesienny dzień 1946 roku, przenieśli druhowie trumnę Alka i pochowali obok Jasia, pod kwietną rabatą. Na wspólnej mogile wyrósł teraz dwa brzoźowe krzyże. Spoczywają razem. Nie tak dawno jeszcze wyruszyli po nowe przygody, w okresie najcięższych mroków okupacyjnych.

Matka Rudego przypomni jeszcze raz uczuciowy rozdział tej epeji i powie: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”. Przeżyje Arsenał najgłębiej: „To dokument niezwyklej, wprost heroicznej przyjaźni — to miłość i wierność ideałom najszlachetniejszym”.

Po 44 latach od tamtych strasznych chwil doda: „...„Przyjaźń jest głęboką tęsknotą serca, odmianą miłości”...

I jeszcze Romain Roland: „...nie mierzył uczuć swoich, dał mi przyjaźń zaginionego już gatunku, a takiej miary, że chcąc jej sprostać, musiałem urosnąć”.



Grób Janka Bytnara „Rudego”

Samotna mogiła Janka Bytnara „Rudego”, która zapoczątkowała kwaterę Batalionu „Zośka”

Zdjęcie wykonane 2.04.1943 r.

„Pamięć o Nim jest niby ziarno, w którym żyje całe przyszłe zboże”.

## CZAS SŁUŻBY

„Pojęcie służby obejmuje nie tylko drobne usługi uprzejmości i dobroci świadczone innym: są one chwalebne i dobre i każdy skaut czyni je codziennie, ale mam na myśli coś wyższego ponad nie: — służbę obywatelską dla Ojczyzny”

Baden-Powell

Powązki... Pomniki dziejowe... Bezimienni, pełni snów o Polsce... Zwykle brzozone krzyże, dźwigające na swych słonecznych ramionach piętno wojny i kawał ojczyźnianej historii. Kwatera Szarych Szeregów. Nazwiska, pseudonimy, lata i losy, o których Krzysztof Kamil Baczyński napisze z melancholią, omalże rozpaczą:

Których nam nikt nie wynagrodzi  
i których nic nam nie zastąpi,  
lata — ojczyzno złej młodości,  
trudnej starości dniu narodzin.

Ciepły, sierpniowy dzień... Jeden z tych dni, które najbardziej przywołują ich Sylwety i ich Służbę:

„Czarna czupryna i czarne brwi lśniące intensywnie granatowym połyskiem, nadawały odcień całej twarzy (...) Nosił okulary w rogowej oprawie, a ich grube soczewki aż nadto wyraźnie świadczyły o bardzo słabym wzroku. W czasie okupacji był to brak dla młodego człowieka niezwykle przykry: utrudniał uczestnictwo w akcjach zbrojnych. Tym bardziej więc pogrążał się Czarny Jaś Wuttke w walce innego rodzaju, w walce o ludzkie charaktery”.

Byli bardzo różni: spokojni, łagodni, serdeczni, romantyczni, uczuciowi, wrażliwi. I na odwrót: rogaci, wybuchowi, uparci, zacięci, pełni pomysłów i marzeń. Życie w nich po prostu płynęło i płonęło...

Przyszło im dojrzewać i kształcić charaktery czasem brzozy zwęglonej. Może właśnie dlatego wyogromnili sensem życia: „...A my przecież chcemy tworzyć, tworzyć zrywem, pracą własną, wysiłkiem woli, serca, rozumu i sumienia” (...)

